

Jaki on był? Ambitny. Czasem mnie to denerwowało. Właściwie to ambicje zabrały mu najwięcej zdrowia. Praca to był jego żywioł. Liczył na awans, ciągle się dokształcał. Szef go nie doceniał, on tego nie potrafił zrozumieć. Pewnego dnia stwierdził, że powinien mieć jakąś pasję. Najpierw zaczął żeglować, potem koledzy namówili go sporty ekstremalne, następnie poszedł zdobywać z jakimś kumplem szczyt, jego organizm nie dał rady. Czułam, że mój partner nie czuje adrenaliny. Był raczej strachliwy, kiedy ja latałam po ruinach starych kamienic, on siedział w samochodzie i obgryzał paznokcie. Tylko raz ze mną poszedł, jak zobaczył zawalone schody, to mnie stamtąd wyciągnął, przez całą drogę tłumaczył mi, że mogłam zginąć i błagał o obietnicę, że zawsze będę grzeczną dziewczynką. Co miałam zrobić? Musiałam dać słowo, że nigdy więcej nie pójde kusić losu. Tydzień później wchodziłam przez okno opuszczonego budynku, a żółta tabliczka uprzejmie informowała „Grozi zawaleniem”. Oczywiście on się o tym nie dowiedział. Chyba by mnie zostawił.

Jaki on był? Błyskotliwy. Nie opowiadał żartów. Nie musiał tego robić. Za to szybko reagował w słownych potyczkach. Zawsze, gdy się kłóciliśmy, odbijał niewidzialną piłeczkę w taki sposób, żebym nie miała pola do popisu, z drugiej strony dbał o zachowanie granic dobrego smaku. Nigdy nie usłyszałam od niego, że jestem głupia. Czasem nazywał mnie pozytywną wariatką. Czasem... Robił to tylko wtedy, kiedy wiedział, że to sformowanie będzie odpowiednie. Umiał wyczuć moment. Wyczuwanie momentów, to była jego specjalność. Nawet, kiedy miał do mnie jakieś zastrzeżenia, to czekał na odpowiedni moment, żeby mi o tym powiedzieć. W przeciwieństwie do niego, ja tych momentów nie wyczuwałam.

Jaki on był? Cierpliwy. W zasadzie tutaj powinna się zacząć nasza historia. On był przeciwny wszelkim ingerencjom w ciało. Oczywiście rozumiał, że czasem trzeba coś usunąć, wstawić, zamienić, ale traktował to jako zło konieczne. O tatuażu nie chciał słuchać w ogóle. Wielokrotnie mówiłam, że chciałabym sobie zrobić „coś” drobnego na ciele. Podobał mi się ten sposób wyrażania osobowości. On mnie tłumaczył, że to zły pomysł, podawał argumenty, podsyłał artykuły. Nie posłuchałam go. Inaczej, posłuchałam go, ale okazało się, że moje koleżanki mają na mnie większy wpływ. Poszłyśmy do profesjonalnego salonu, przedstawiłam tam zaświadczenie o aktualności szczepienia na żółtaczkę, wybrałyśmy motyw i... Bolało jak cholera. Po fackie zaczęłam mieć wyrzuty sumienia względem ukochanego. Chciałam cofnąć czas, próbowałam zakryć przedramię. Trudno zataić fakt zrobienia tatuażu przed kimś, kto zna każdy skrawek twojego ciała. Od razu zauważył. Ledwo przekroczyłam próg mieszkania, a on zbliżył się na niebezpieczną odległość, podwinął rękaw bluzki i zapytał, co to jest? Doskonale wiedział, co to jest. Popłakałam się wtedy. Myślałam, że będzie krzyczał, a on tylko się roześmiał, pocałował mnie w czoło i powiedział, że jestem jak dziecko. Gdy się uspokoiłam, usiedliśmy na kanapie i spokojnym tonem zaczął mi tłumaczyć, dlaczego zrobienie tatuażu było głupie, na końcu zapytał, dlaczego „Carpe diem”?

Jaki on był? Dobroduszny. Nigdy nikogo nie wspierał finansowo. Oczywiście pożyczał czasem pieniądze kolegom, ale to były wyjątkowe sytuacje. Przekazywał również jeden procent podatku, organizację wybieraliśmy wspólnie, co roku inną. Poza tym udzielał się jako wolontariusz. Uważał, że to jego obywatelski obowiązek.

- Będiesz świetnym ojcem – powiedziałam pewnego słonecznego poranka.
- Tak uważasz? – zapytał, a potem pocałował mnie w skroń.
- Oczywiście! – odwzajemniłam pocałunek.
- Nie mogę mieć dzieci – powiedział, to tak jakby niepłodność była czymś naturalnym. – Zawsze możemy adoptować, tyle dzieci czeka na swój dom.

Odczekałam chwilę w nadziei, że zacznie się śmiać i krzyknie coś w stylu „Żartowałem!” albo „Ale masz poważną minę, hahahaha!”. Nigdy wcześniej o tym nie rozmawialiśmy, nie planowaliśmy jeszcze dzieci.

- Oczywiście, że możemy adoptować – przytuliłam się do niego.

Mówiłam już, że był dobroduszny?

Jaki on był? Enigmatyczny. Nie zgrywał szeryfa służb specjalnych, który nic osobie nie mówi, bo każda usłyszana informacja mogłaby mnie kosztować życie. Jego tajemniczość była bardzo naturalna. Ciągłe mnie zaskakiwał jakąś informacją ze swojego życiorysu. Oczywiście nie miał trzech żon i trupa kochanki w lodówce, pod tym względem wiedziałam o nim wszystko. Kiedyś obiecaliśmy sobie, że nie będziemy mieli sekretów, które mogą rzutować na życie drugiej strony. Kiedy dowiedział się, że ma guza wielkości niedojrzałej śliwki, zamówił stolik w najdroższej restauracji, zadzwonił do mnie, że kolacja przy świecach gotowa, a potem sprawnym ruchem otworzył szampana. Gadaliśmy wtedy o wszystkim, on paplał o swoich ambicjach i pracy z której został kilka dni wcześniej wywieziony ambulansem, ja usilnie próbowałam zmienić temat.

- Co to za okazja? – zapytałam po trzeciej już lampce wina.

- Być może mam raka, tylko nie płacz – powiedział, a jego oczy wyrażały spokój.

- Dlatego ta cała kolacja? – przez chwilę myślałam, że coś źle zrozumiałam.

- Chciałem, żebyś była wyluzowana – odparł, a potem zaczął głaskać moją dłoń.

Tamtej nocy płakałam. Długo i rzewnie w hotelowej łazience. On tego nie widział. Specjalnie wynajęłam sobie pokój, żeby móc się wypłakać, jemu powiedziałam, że chcę spędzić czas z koleżankami, a on uwierzył albo udawał, że wierzy. Następnego dnia robiłam dokładny makijaż, przylepiłam sobie do twarzy uśmiech i udając szczęśliwą wróciłam do domu.

- Jak to jest ponad twoje siły, to możesz się wyprowadzić, zrozumiem – powiedział przy śniadaniu. – Nie chcę, żebyś mnie wspierała z litości, każdy chce mieć zdrowego partnera.

- Ty byś mnie zostawił? – zapytałam, a łza mi pociekła po policzku.

- Nie – odpowiedział zwięźle i na temat. – Ale zrozumiem...

- Nie! – przerwałam mu. – O czym my w ogóle gadamy?

Tamtego dnia naprawdę przestaliśmy mieć przed sobą sekrety, chociaż nadal wiele spraw pozostało jego tajemnicą.

Jaki on był? Figlarny. Nie pajacował, wszystkie jego żarty były pełne wdzięku. Wszystkie pielęgniarki go przez to lubiły. Zresztą nie tylko pielęgniarki, pacjenci też byli zauroczeni.

Pierwsze chemia. Odwiozłam go tylko do szpitala, po kilku godzinach zadzwonił, żeby po niego przyjechać. Narysował oddziałowej laurkę.

Druga chemia. Znowu go odwiozłam, a później zabrałam do domu. Ozdobił szafkę kolorowymi kwiatkami, marker wziął z domu.

Trzecia chemia. Scenariusz ten sam. Kwiatki przetrwały, ponieważ spodobały się personelowi oddziału, poza tym salowej nie chciało się biegać z rozpuszczalnikiem, miała lepsze rzeczy do roboty. Mój męczyzna zorganizował na sali koncert anegdot i dowcipów. Trzecią chemię zniósł najgorzej. Kilka dni wymiotował. Lekarz kazał czekać na wyniki badań. Decyzję o zgoleniu włosów podjęliśmy zaraz po ujawnieniu się choroby.

Jaki on był? Gadatliwy. Ta cecha ujawniła mu się dopiero, gdy choroba zaczęła postępować. Nadal liczyły się ambicje. Aktywność zawodowa mojego partnera trwała do czasu, kiedy organizm nie zaczął wyraźnie odmawiać posłuszeństwa.

- My nie mamy czasu – mówił za każdym razem, gdy gorączka dosięgała czterdziestu stopni.

- Mamy cholernie dużo czasu – zapewniałam go, a on mi przerywał i zaczynał od nowa, że musi zrobić jeszcze wiele rzeczy, ale zostało nam mało czasu.

Lekarz kazał się cieszyć z aktywności męża, to podobno zwiększało jego szanse na przeżycie.

Gdy było lepiej, siadaliśmy wieczorami na tarasie i gadaliśmy do oporu, czyli do momentu, kiedy mój ukochany nie opadał z sił. Gadaliśmy, to za duże słowo. On gadał, a ja słuchałam. Opowiadał mi o wszystkim, nawet o tych najoczywistszych rzeczach. Dobrze mi się go słuchało.

Jaki on był? Honorowy. Jeżeli coś obiecał, to słowa dotrzymywał. Wszyscy mogli na nim polegać. Kiedyś obiecał kumplowi, że naprawi jego motocykl. Nie miał do tego kompletnie głowy, strasznie go to denerwowało. Mówiłam, że trzeba zadzwonić do tego kumpla i mu wytłumaczyć, a mój partner ciągle protestował. Gdybym знаła numer, to sama bym zadzwoniła. No i nadszedł wieczór przed umówionym terminem. Ja położyłam się spać, a on majsterkował przez całą noc, żeby motocykl był gotowy następnego dnia. Kumpel był wniebowzięty z powodu fachowości mojego partnera, a on? Wypił trzy kawy i poszedł do pracy, przecież nie mógł wziąć zwolnienia, obiecał kolegom, że im pomoże przy trudnym projekcie.

Jaki on był? Inteligentny. W dodatku idealista i indywidualista. O wszystkim dało się z nim pogadać, to jasne. Dużo czytał, więc tematów do rozmowy też było sporo, nawet można powiedzieć, że nigdy się nie kończyły. Tylko te jego harcerskie ideały odbiegały od wszelkich norm. Jak go ktoś oszukał albo wykorzystał, to mój partner zawsze znalazł usprawiedliwiające wytłumaczenie. Ten miał trudnego dzieciństwo, tamtego zostawiła żona, a jeszcze inny jest ciężko chory. Miałam wtedy ochotę przypomnieć mu, że on też jest chory. Nawet raz mi się wyrwało, spojrzał wtedy na mnie smutnym wzrokiem, nic nie odpowiedział. Było mu przykro, mnie też było przykro. Przeprosiłam, ale to niczego nie zmieniło. Od moich przeprosin nie wyzdrowiał, a ludzie nadal traktowali go jak chłopca na posyłki. Na bezgranicznej wierze w ludzi opierał się cały indywidualizm mojego ukochanego. Takich ludzi jak on jest mało, dlatego większość z nich (w tym ja) traktowali jego postępowanie jako coś dziwnego. Mimo, że powinniśmy się od niego uczyć.

Jaki on był? Jowialny. Mój tatuaż z niewiadomych przyczyn zaczął się paprać. Poszłam do lekarza, obejrzał obrzmiałe miejsce, zalecił jakąś maść i odesłał do domu. Maść była cholernie droga i nie pomagała.

- Widzisz, to jest kara za to, że mnie nie posłuchałaś – powiedział ukochany poważnym tonem. – Będziesz miała nauczkę.

Już miałam nauczkę, najchętniej bym zdarła cały napis byle, żeby już nie swędziało i nie bolało.

Poszłam do innego lekarza. Wizyta prywatna. Ten przeprowadził szczegółowy wywiad. Niewykluczone zakażenie. Już widziałam kikut zamiast prawej ręki. Wróciłam do domu, nie chciałam nic nikomu mówić na temat diagnozy. Jako urodzona pesymistka spodziewałam się najgorszego. Lekarz kazał się zjawić u siebie za dwa dni. Wpisałam za to w Google „zakażenie podskórne”, wyskoczyło mi kilka propozycji, kliknęłam w link, który wyglądał na najbardziej wiarygodny i odetchnęłam z ulgą. Zakażenie było wykluczone. Ręka nadal bolała. Całą noc zwiąjałam się z bólu, a partner troszczył się o mnie z największą czułością. Pocieszał, całował, smarować, w końcu zawiózł na ostry dyżur. Do dziś nie wiem, co mi było, ale ręka już nie boli.

Jaki on był? Kochający. Kochał siebie, mnie, swoich rodziców, sąsiadów, wszystkie zwierzęta, Boga, cały świat i życie – kolejność przypadkowa. Gotował nieźle. Uwielbiał wyraziste smaki. Czasem paliło mnie w gardle od nadmiaru ostrych przypraw, nawet do jajecznicy dodawał pół saszetki zmielonej ostrej papryczki. Zawsze sobie obiecywałam, że nigdy nie zjem niczego spod jego ręki. Bezskutecznie. Wracałam jak bumerang, a on się cieszył, że mi smakuje i bez pytania dawał dokładkę, a ja popijałam każdy kęs hektolitrami wody. Wierzyłam, że sam się domyśli. Byłam naiwna...

Jaki on był? Lojalny. Nigdy nie wykorzystał nadmiaru swojej wiedzy na temat różnych osób, pomimo tego, że z ludzkiego punktu widzenia by był usprawiedliwiony. Mogłam być spokojna, że jeżeli rozstaniemy się w niezgodzie, to nigdy nikt się nie dowie jaka byłam w łóżku. Nawet, gdy sama wykazałam się nielojalnością robiąc sobie tatuaż, wbrew jego woli, on nie szukał okazji do odwetu. Nikt spoza naszego grona nie wiedział o moich przewinieniach i słabych stronach. On mnie nigdy nie próbował ośmieszyć. Wiedział o mnie wszystko, nawet to, czego się partnerowi nie mówi. Bezgraniczne zaufanie jest złe? Zależy komu ufasz...

Jaki on był? Łakomy. Jak już wspominałam całkiem nieźle gotował. Dużo jadł. Musiałam chować przed

nim słodczy. Podczas choroby strasznie schudł. Był czas, że nie mógł jeść, bo wszystko, co przełykał, to zwracał. Przynosiłam mu do szpitala smakołyki, a on je pożerał wzrokiem. Podobno od samego patrzenia czuł się zaspokojony. Zresztą nie tylko chodziło o pokarm. On był spragniony wrażeń. Nie takich wrażeń jak ja sobie zapewniałam. On chciał czuć. Resztkami sił chwytałyśmy dni, noc, pojedyncze momenty. Razem się śmialiśmy i płakaliśmy. Przeżywaliśmy każdą chwilę na swój indywidualny sposób. Nie było nadmiaru słów, był tylko węch, dotyk, smak, czasem wzrok. Miał piękne oczy. Kochał zapach malin. Zapach i kolor dojrzałych malin, to było coś, co działało na niego kojąco. Zawsze mu było mało. Zawsze narzekał, że może tylko lizać cukierki przez papierek.

Jaki on był? Miły. Niezależnie od dnia i momentu. Uważał, że nie należy tracić czasu na złośliwości. Pomagałam emerytkom wnosić zakupy na najwyższe piętra, wszystkim mówił „Dzień Dobry!”, roznosił po ulicy promyki porannego słońca. Może dlatego ludzie go lubili? Czasem mnie ta jego niemalże przesłodzona sympatia do świata denerwowała. Czasem byłam po prostu zazdrosna. Żadna kobieta nie lubi, gdy jej partner uśmiecha się do innych pań, nie byłam w tej kwestii wyjątkiem. Czasem robiłam mu z tego powodu przykrości.

- Czego się burzysz? – pytał, a mnie robiło się zwyczajnie wstyd.

Jaki on był? Niezależny. Pytał mnie o zdanie, tylko wtedy, kiedy sprawa dotyczyła nas obojga. Sam robił sobie herbatę, sam prasował swoje koszule, sam obsługiwał pralkę automatyczną. Czasem chciałam go wyręczyć, ale on mi nie pozwalał, mówiąc, że świetnie da sobie radę. Gdy zachorował stał się wyjątkowo wyczulony na próby wyręczania. Wtedy zrozumiałam, że większość młodych mężatek marzy o samodzielnych mężczyznach, a ja wręcz przeciwnie.

Jaki on był? Odpowiedzialny. Przykłady można mnożyć, Część naszych znajomych nie mogła się nadziwić, jakim cudem taka niedobrana para jak my znalazła wspólny język. Wariatka znalazła sobie rozsądnego, a ten rozsądny ją chciał, przecież takie rzeczy tylko w bajkach o brzydkich księżu i pięknej królewnie. Poza zdarzeniami, które przywołałam wcześniej przypominała mi się jeszcze jedna sytuacja z przeszłości. Na wakacjach znajomi powierzyli mojemu partnerowi dziecko, sami poszli popływać, a on czytał, przewijał, karmił i udawał szczęśliwego. Kiedy kolega zaproponował Marciowi, że popilnuje dziecka mój ukochany powiedział, że on się będzie nim opiekować, ponieważ to właśnie on czuje się za to dziecko odpowiedzialny. Wypoczęci znajomi wrócili po swojego potomka późnym wieczorem, kilka dni później ktoś powiedział, że mój partner byłby świetnym ojcem, bo cudzymi dziećmi opiekuje się z taką samą uwagą, jak inni tatusiowie opiekują się swoimi latoroślami. Wtedy przypominało mi się, że my przecież nie możemy mieć dzieci.

Jaki on był? Pracowity. Z wiekiem przekształcił się w pracoholika. Jego mama opowiadała, jak to zawsze jej pierworodny zmywał naczynia, gotował obiady, robił zakupy. Nawet nazywała go „pszczołką” albo „mróweczką”. Marcin strasznie wstydził się tych zdrobnień, nie chciał żebyśmy wychodziła za owada. ;)

Jaki on był? Radosny. Cieszył się każdym dniem, wychodził z domu i wracał tylko po to, żeby mi powiedzieć, że już wiosna. Ja nie widziałam takich rzeczy, dopiero podczas jego choroby zaczęłam dostrzegać wartość każdego dnia. Inni się smucili oblanymi egzaminami albo problemami w pracy, a ja szłam na łąkę obcować z przyrodą. Radował mnie każdy podmuch wiatru, świergot ptaków, kwitnący kwiat. Sprawiało mi przyjemność patrzeć na ludzi, którzy pospiesznie przebiegali przez ulicę. Jeszcze lepiej się czułam, gdy on był tuż obok. Bałam się jednak, że każdy wspólne wyjście może być powodem infekcji, która okaże się dla Marcina śmiertelna. Mój ukochany zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, próbował wyśmiać chorobę. Zazwyczaj jeżeli się czegoś strasznie boimy, ale nie potrafimy się do tego przyznać, to zaczynamy z tego kpić. Mówił „Widzisz? Jestem jak średniowieczny książę, taki wrażliwy na zmiany pogody”. Mnie to denerwowało, ale nic nie mówiłam. Lepiej śmiać się niż płakać, prawda?

Jaki on był? Spontaniczny. Umiał w ciągu pięciu sekund wymyślić plan podróży dookoła świata albo przekształcić w świetny wieczór pozornie zmarnowane popołudnie. Przy nim niestraszne były zmiany atmosferyczne, odwołane koncerty czy nudne bankiety z których trzeba było się jak najszybciej

ewakuować. Kiedy jeszcze nie byliśmy razem, zadzwonił do mnie w środku dnia i zapytał, czy nie chciałabym przejechać się z nim nad morze. Oczywiście, że chciałam. Marzyłam o tym, żeby się gdzieś wyrwać. Po kwadransie był u mnie w domu i pomagał mi się spakować, po godzinie siedzieliśmy w pociągu, obserwując przesuwające się pola za oknem. To był bardzo beztroski czas, wtedy jeszcze myślałam, że Marcin jest beztroskim człowiekiem, trochę mnie to martwiło. Może gdyby był beztroski nie dotknęłaby go choroba?

Jaki on był? Troskliwy. Z takim mężczyzną jak mój żadna grypa niestraszna. Zrobi herbatkę, przykryje kocykiem, pomasuje stópki i wypożyczy dobrą książkę z biblioteki. Czasem żartowałam, że powinien skończyć studia pielęgniarские. Strasznie go to bawiło.

Jaki on był? Wierny. Powiedział, że będzie mi służył jak pies. Powiedziałam, że wolałabym kota. Roześmiał się. Następnego dnia mieliśmy w domu malutką kotkę, która dostała imię Frania. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że on mógłby mnie zdradzić. Chociażby nagie striptizerki prezentowały mu swoje wdzięki, jego to nie ruszało. On miał mnie i uważał, że jestem wystarczająco dobra, żebym mogła działać solo w jego życiu. Było mi z tym dobrze. Zawsze, gdy jakiś mężczyzna proponował mi „skok w bok”, mówiłam, że mój mąż, który miałby się nigdy nie dowiedzieć jest dla wystarczająco dobrym kochankiem. Nie potrzebowałam innego.

Jaki on był zaradny? Robił coś z niczego, nie tylko w kuchni, ale również w łazience, przedpokoju i w sypialni. Zawsze, gdy panikowałam, bo nie mieliśmy na coś pieniędzy, on kazał mi się uspokoić i zawsze coś wymyślił. Czasem miałam wrażenie, że jest czarodziejem albo geniuszem rozwiązywania trudnych sytuacji życiowych, a on był po prostu zaradny.

Potem wyzdrowiał. Z tygodnia na tydzień miał coraz lepsze wyniki badań. Lekarze mu gratulowali, pacjenci zazdrościli, pielęgniarki cieszyły się naszym szczęściem. Tylko Marcin był jakiś nieswój. Zmienił się. Z rozsądnego wariata zmienił się w podstarzałego lekkoducha. Tak, przestał wywiązywać się z obowiązków.

Pewnego dnia zaprosił mnie na obiad. Miałam przeczucie, że stało się coś złego. Przepraszał, powiedział, że czuje się innym człowiekiem i musi odejść. Tej nocy spakował walizki, nie zostawił żadnego adresu, mocno mnie przytulił i zniknął. Tak po prostu, zamknął za sobą drzwi i rozpoczął nowe życie. Beze mnie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

niewidoczna, dodano 30.11.2016 10:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.